POWIEŚĆ i NOWELA

Rok XIX | Warszawa, dnia 31 Grudnia 1927 roku | Nr. 53

ANDRZEJ STRUG

16) UCZTA ZWYCIĘSTWA

— Próbny alarm wypadł dobrze... W imieniu komendy pułku wyrażam wam pochwałę!

— Dziękuję, panie rotmistrzu!

— Wachmistrz Kapuściński!

— Jest!

— Dlaczego się pan śmiejesz? Co? Na służbie?!

— Ta jaż się nie śmiał... To tylko tak z mrozu, panie rotmistrzu...

— Uważajcie no, żeby wam się nie zrobiło za ciepło....

Dopiero z drgającej twarzy rotmistrza wyczytał adjutant Braun czarno na białem... Co za skandal! Tylko po pijanemu można było nie rozpoznać... Wypaliło przy pożarze trochę głupich nabojów i tyle strachu... Alarm, wszystko na nogi... Tfu, do djabła... A do starego djabła! Ze wstydu rozzłościł się natychmiast i postanowił nie wracać do komendy, aż się porozjeżdżają goście wszyscy do ostatniego. Prześpi się u doktora.

Doktór ubrany naprędce już rozstawiał w chałupie swoje bandaże, waty i szczękał chirurgicznem żelastwem, poganiając sanitarjuszów, którzy prychali po kątach. Doktór denerwował się i co chwila podbiegał do okna.

— Idź no który, wyjrzyj, czy kogo nie niosą?

— Machać mi we dwóch na wieś a zabrać ze sobą nosze! Marsz! — wzmocnił adjutant, w braku lepszego pomysłu w tem dwuznacznem położeniu sprzymierzając się małodusznie z żołnierzami. Wypadli z chałupy wszyscy co do jednego, dusząc się ze śmiechu.

— Zdaje się, że ogień ustał? — spytał ostrożnie doktór.

— Bo już zabrali Taraszkiewicze, wyrżnęli w pień szwadron i idą na nas; za godzinę tu będą, — oznajmił głosem grobowym adjutant, oskrobując się z lodu przed kominem.

— Rany Boskie — i cóż będzie?!

— Stoczymy bój na śmierć i życie i zginiemy z honorem — odrzekł adjutant, układając się na rozrzuconej pościeli doktora.

— Przecież trzeba czemprędzej cofać się na Jelczyn, nie tracąc chwili... Koncentrować się z drugim i czwartym szwadronem!....

— Dobra myśl! Niech doktór zaraz idzie z tem do Puza — i adjutant nakrył się z głową kocem i natychmiast zachrapał.

Doktór stał nad nim i myślał ciężko i aż stękał z wysilenia. W głowie łamało go, w brzuchu czuł żar i ogień. Nigdy już nie będzie pić! Zagapił się na śnieg, który padał coraz gęściej i pomimo całej okropności położenia czuł, że usypia...

Ocknął się, gdy naoścież otwarły się drzwi i do dusznej chałupy wtargnął mróz. Sanitarjusze ostrożnie wnosili kogoś. W półmroku ciemnawej izby zamajaczyła blada zsiniała twarz z przymkniętemi powiekami — toż to porucznik Burkut!

— Ciężko ranny? — zapytał szeptem i dreszcz żalu przeszył zacne serce doktora, gdy wpatrzył się zbliska w trupią, zastygłą twarz.

Żołnierze cisnęli nosze i wypadli za drzwi. Od wstrząśnienia zmarły otworzył szeroko piękne niebieskie oczy o czystem, młodzieńczem wejrzeniu. Doktór żachnął się i odskoczył.

— Zlituj się, doktorze — ozwał się ciężką chrypą zmartwychwstały — straszliwie przemarzłem... Zleciałem z konia i całą noc przespałem na mrozie... Bydlaki jedne... Opoje... Wszyscy zapomnieli o mnie... Żaden sk.... syn nie pomyślał o koledze... Doktorze, dajcież mi wódki...

— Kiedy nie mam...

— Spirytus macie... Dajcie mi szklaneczkę spirytusu, bo chyba zdechnę....

W chałupie zrobiło się ciemno. Czyjeś plecy zasłoniły okno. Zatętniły kopyta. Na dworze wszczął się rejwach, podniesione głosy... Wszyscy krzyczeli naraz. Co się stało?....

Doktór odstawił wielką blachę ze spirytusem i wyjrzał na dwór. Kłęby pary buchały ze zgonionych koni. Ośnieżony kapral patrolowy komendy pułku cienkim głosem, wysilonym i zdyszanym raportował z konia rotmistrzowi Zakwaskiemu, który przerywał mu co chwila.

— Czekaj! Zaraz!... Gadaj od początku!...

— Więc panie rotmistrzu... Jak powiadam, kiedy nasi ułani wypadli z chałup, już żadnego dostępu do izby nie było skroś okropnego dymu... A tu ze sieni z tego dymu wychodzi francuz i jeszcze nie puszcza... Z rewolwerem zastąpił drogę, panie rotmistrzu! Patrzy jak warjat, że tylko uciekać i tyle. Bo to przecież on sam ogień podłożył....

— Czekajże! A podporucznik Krysiński?

— A nic, panie rotmistrzu... Na oczy my jego nie widzieli, pana podporucznika, ani tej francuzowej dziewczyny, Xeńki.

— No więc gdzie się u djabła podzieli oboje?!

— Może być, że tutaj ostał się gdzie pan podporucznik w Sitowiczach przy zabawie.

— Niema go tu nigdzie. Rozumiesz?

— Za przeproszeniem pana rotmistrza — odezwał się jeden z patrolu.

— No, co wiesz

— Gadali, że....

— Kto gadał?

— Nasi gadali, że chyba francuz...

— Co francuz?

— A że on ich oboje zastrzelił, bo ich, panie rotmistrzu, zastał razem, a potem ich wziął podpalił i już. Ja tam nie wiem, panie rotmistrzu, ale tak gadali.

— Kto gadał?

— A wszyscy.

— Więc, panie rotmistrzu — zaczął znów kapral — przez tego pana kapitana francuskiego zabałamuciły się szarże i nikt nie dbał, że się zajęła druga chałupa na tyle, gdzie właśnie był skład. Granaty to jeszcze zdążyli wyciągnąć i blaszanki z ekrazytem i jeszcze parę skrzynek z nabojami, a reszty się nie dało za nic wydrzeć, bo straszny ogień, to i powystrzelało... I trzecia chałupa tyż poszła...

Kapral zamilkł. Konie dymiły i dreptały na miejscu. Śnieg szedł coraz gęściej. Rotmistrz dzikim wzrokiem patrzał w dal na jezioro, którego siny ogrom już zaścielał się białą równiną.

— Rany boskie... — jęknął doktór.

— Co! — rzucił się na niego z impetem rotmistrz Zakwaski.

— Zawsze mówiłem, że to warjat.

—Kto warjat?!

— Jakto kto? Dwie kontuzje i zarośnięta kula w głowie!... I cztery lata okopów! Jeszcze wam mało? A do tego wódka!

— Co on teraz robi? Jak on teraz?

— Co teraz, to ja przecie wiedzieć nie mogę, panie rotmistrzu. Ale jak my odjeżdżali z raportem na rozkaz pana porucznika, to on właśnie chodził sobie daleko w polu nad jeziorem i fajkę palił. Dopiero się zbierali ku niemu podchodzić panowie oficerowie....

* * *

Zapadło milczenie, tylko konie patrolu dzwoniły w zębach wędzidłami i kręciły się, przestępując z nogi na nogę. Śnieg gęstniał i walił wielkiemi ciężkiemi płatami, przesłaniając białą oponą dalszy świat. Znikała pod miękką puszystą pościelą twarda gruda zamarzłego błota na drodze, śnieg szybko okrywał dachy, czepiał się żerdzi płotów, gałęzi drzew. Czyniło się jasno, odświętnie i wesoło.

K O N I E C

„Grzech Markizy"

Nowelistyka polska nie posiada szerokiego pola do realizacji swojej sztuki w czasopismach naszych, ani nie cieszy się specjalną łaską u publiczności. Wydawcy chętnie ryzykują nakłady nowel rosyjskich, francuskich, nawet włoskich, ale oględnie odnoszą się do twórczości polskiej. Cóż jest przyczyną? Czy niższy poziom? Czy brak talentów?

Żarty! Wiele tłomaczonych z nabożeństwem nowel zagranicznych a drukowanych po czasopismach i wydawanych w książkach nie warte jest jednego zdania polskiego pisarza. Są to zlepki cudzych obserwacji, cudzych odczuć przyrody, cudzych ujęć życia. Gdy się do tego doda kiepskawe przekłady — rezultat nie może być ponętny.

Utarła się jednak tradycja, że pisarz zagraniczny jest więcej poszukiwany na naszym rynku księgarskim, niż autor polski. Dla wielu wydawców do niedawna beletrysta zagraniczny miał jeszcze tę przewagę, że można go było drukować za darmo. Tej zasady trzyma się jeszcze wiele naszych czasopism: grosze za przekład są tak znikome, że się nie liczą.

Dlatego z wyróżnieniem należy powitać ukazanie się na półkach księgarskich nowel Zuzanny Rabskiej p. t. „Grzech Markizy". W atmosferze niesprzyjającej temu rodzajowi sztuki, naprzekór modzie a przy solidnej literackiej kulturze powstał ten tom wizji artystycznych czysty w intencjach, rozmiłowany w kształtach, barwach, zapachach otaczającego świata. Zuzanna Rabska okazuje bohaterom swoim wiele współczucia. Jest dyskretna w malowaniu wydarzeń ujemnych. Gdy tylko może, zaznaczy cieplejsze drgnienie serca. W oczach jej znajdują dużą życzliwość ludzie prawi, niezawsze szczęśliwi. Wystarczy przeczytać jej opowiadanie p. t. „Żebruś" lub dłuższą nowelę p. t. „Pensjonat pani Gizeli", by obudzić w sobie sentyment dla tych istot. Czołowa nowela p. t. „Grzech Markizy" jest również tego typu pułapką na czytelnika. Przypuszcza, że znajdzie w opowiadaniu tem jakąś włoską fascynującą przygodę miłosną. Otrzyma cichy, zadumany szept nad niedolą serca kobiecego, tyranizowanego przez przesąd kastowy a spalającego się w ofiarnej miłości dla dziecka.

Zuzanna Rabska ten świat kobiecej niedoli odtwarza ze specjalnym pietyzmem. Jakże smętnem musi się wydać bytowanie na ziemi takiej pannie Peli, pianistce, grającej w kinie, poniechanej przez los a marzącej o „Hrabi z filmu". Miała nadzieję grać na koncertach w świetle rozżarzonych łuków elektrycznych. Pragnęła uznania, oklasków, słońca. Bezlitosne życie wpędziło ją za parawan do kiepskiego kina, by przygrywała do ilustracji filmów. Cóż jej zostało? Niemądre marzenia o bohaterach z filmów. Rzeczywistość obudzi ją z tych śnień parasolem układnego zegarmistrza. I to nie jest zresztą najgorsze. Może za ladą biednego sklepu naprawiacza zegarów znajdzie cichą przystań.

To rozdwojenie życia na krainę marzeń i świat szarej rzeczywistości syntetycznie i bardzo zręcznie pokazała autorka w noweli p.t. „Listonosz". W małem miasteczku wszyscy prawie mieszkańcy budzą się z codziennej, niezmiennej, wdrożonej kolei wydarzeń przy ukazaniu się na ulicy listonosza. Każdy oczekuje na jakiś cud odmiany rzeczywistości. Czy jednak przyjdzie ten upragniony list, zbawca, ukoiciel, łaskawy opiekun?

Nowele, zebrane w tomie p. t. „Grzech Markizy", były drukowane w różnych czasopismach. Niektóre znamy już z książek p. Z. Rabskiej. Wdzięk ich, dyskrecja, zaduma zawsze napawały nas zadowoleniem estetycznem. Niekiedy autorka przenosi swe pole obserwacji i na dusze męskie. Zdobywa się wtedy na życzliwy humor. Czyż nie zabawną figurą jest taki pan Edmund, arcymistrz kunsztu fryzjerskiego w noweli pod rzewnym tytułem „Szczypta poezji"?

Tom nowel Zuzanny Rabskiej p. t. „Grzech Markizy" znajdzie napewno licznych i zadowolonych czytelników. Są one ciekawsze od wielu tłomaczonych a wpychanych gwałtownie do rąk naszej publiczności cudzoziemskich utworów. Wyróżnia je dobry smak i niepowszednia kultura pisarska.

Dr. Z. M.

6)

WSPÓLNIK

— Byłbym ciekaw, — rzekłem, — dowiedzieć się, jaka była główna przyczyna całej tej tragicznej sprawy, to jest jaki to był ten patentowany środek lekarski. Czy pan to wie?

Wymienił nazwę. Usłyszawszy ją, zagwizdałem z podziwu. Były to ni mniej ni więcej tylko sławne pigułki *Parker'a, Parker's Lively Wumbago Pills!* Olbrzymie przedsiębiorstwo! Naturalnie, słyszeliście o tym środku, ktoby o nim nie słyszał! Jeden, przynajmniej, na dwóch, wypróbował go na sobie.

— Ominął ich ogromny majątek! — zawołałem.

— Tak, — mruknął, — kosztem jednej kuli rewolwerowej.

Opowiedział mi też, że Cloete powrócił do Stanów Zjednoczonych, jako pasażer na towarowym statku Albert'a Dock'a. W wilję jego wyjazdu spotkał go, włóczącego się po bulwarach i zabrał go ze sobą do domu na kieliszek.

— Dziwny to człowiek, ten Cloete. Piliśmy grog przez całą noc, aż do chwili, gdy miał wsiąść na statek.

Wówczas to Cloete opowiedział mu całą tę historję. Nie był rozgoryczony, lecz bardzo znużony. Wyznał wszystko z nieświadomą szczerością, pozbawioną wszelkich zasad moralnych, jak przystało na człowieka, pracującego w przemyśle patentowanych środków lekarskich. Cloete zakończył swe opowiadanie zdaniem, że „dość już ma starego świata". Wkońcu i George Dunbar odsunął się od niego. Widać było, że Cloete był tem wszystkiem rozczarowany.

A co się tyczy Stafford'a, to ten umarł jako zawodowy włóczęga w jednym ze szpitali, East End'u. Ostatniego dnia przed śmiercią zażądał pastora, gdyż jak mówił, sumienie nie dawało mu spokoju za zabójstwo niewinnego człowieka. — Pragnął, aby go ktoś zapewnił, że dobrze zrobił, — mruknął pogardliwie stary łotr. — Powiedział pastorowi, że ja znałem Cloete'a, który chciał go zamordować i stąd pewnego razu pastor, działający pośród robotników portowych, zaczął o tem ze mną rozmawiać. Gdy Stafford został wówczas zamknięty w kajucie, wył o przebaczenie... . Obiecywał poprawę i tak dalej. Potem wściekał się, krzyczał, rzucał się, uderzał głową o ściany... wyobraża to pan sobie?... aż się zupełnie wyczerpał. Uspokoił się. Upadł na ziemię, zamknął oczy i chciał się modlić. Tak przynajmniej opowiadał. Do tego stopnia był przerażony, że usiłował sobie przypomnieć modlitwę o prędką śmierć. Żałował, że nie ma noża czy innego ostrego narzędzia, aby sobie poderżnąć gardło i raz położyć temu koniec. Wówczas przyszło mu na myśl, że lepiej byłoby oderwać drzewo naokoło zamku we drzwiach. Lecz nie miał noża w kieszeni. Płakał i błagał Boga, aby mu zesłał jakiekolwiek narzędzie; nagle przypomniał sobie siekierę, gdyż prawie na wszystkich statkach jest na wszelki wypadek zapasowa siekiera, schowana zazwyczaj w jednej z szaf w kajucie kapitana... W poszukiwaniu zapałek otworzył szufladę i pierwszą rzeczą, na jaką natrafił, był rewolwer kapitana. Nabity. Uspokoił się odrazu. Może nim roztrzaskać zamek na drzazgi. Rozumie pan. Ocalony. Pomyślał: „Rozejrzę się naprzód wokoło".

Zapalił zapałkę i zobaczył płócienny woreczek, wsunięty w głąb szuflady. Domyślił się odrazu, co w nim jest. Schował go szybko do kieszeni. „To wymaga większego światła", powiedział sobie. Rzucił na podłogę stos papierów, podpalił je i zaczął gorączkowo przeszukiwać szuflady w poszukiwaniu przedmiotów wartościowych. Niech pan sobie wyobrazi, że temu pastorowi z East End'u powiedział, iż to djabeł go wówczas skusił. Najprzód łaska Boska, a potem djabelskie namowy. Ciągłe kręcenie.

Każdy łajdak może się w ten sposób wytłumaczyć. Tak był zajęty przeszukiwaniem szuflad, że usłyszał dopiero okrzyk: „Wielki Boże!" Podniósł głowę i zobaczył nad sobą, w drzwiach otwartych (Cloete zostawił klucz w zamku) kapitana Harry'ego z wyrazem oburzenia na twarzy, oświetlonej płonącemi papierami. Oczy wyłaziły mu z głowy.... „Kradniesz!" krzyknął na niego. „Ty, marynarz! Oficer! Za takie łotrostwo zasługujesz tylko, abyś, pozostawiony tu, utonął wraz ze statkiem".

Stafford opowiadał pastorowi na łożu śmierci, że, usłyszawszy te słowa, stracił przytomność ze wściekłości. Wyciągnął z szuflady rękę, uzbrojoną w rewolwer i strzelił, nie mierząc. Kapitan upadł sztywno, jak kamień, na stos, płonących papierów, które zgasły. Zrobiło się ciemno. Zapanowała cisza. Chwilę nasłuchiwał, potem rzucił rewolwer i wybiegł jak szalony na pokład".

Stary uderzył w stół swą ciężką pięścią.

— Oburza mnie, gdy słyszę, jak ci głupi przewoźnicy opowiadają wszystkim, że kapitan popełnił samobójstwo. Kapitan Harry w każdej chwili mógł, czy tu na ziemi, czy też na tamtym świecie, stanąć przed swym Stwórcą. Nie należał do rzędu tych ludzi, którzy tchórzą przed życiem. Był z gruntu dobrym człowiekiem. On, pierwszy, w trzy dni po moim ślubie, wezwał mnie do wyładowywania statku.

Wobec tego, że oczyszczenie pamięci kapitana Harry'ego z zarzutu samobójstwa zdawało się być główną podstawą jego opowiadania, nie podziękowałem mu za dostarczenie mi tematu ze zbyt wielkim entuzjazmem. Temat ten nie był też wart wielkich podziękowań.

Zgrozą mnie przejmuje myśl, iż podobne wypadki zdarzają się w naszym poważnym Kanale La Manche, na oczach, że się tak wyrażę, wykwintnych podróżnych, kierujących się ku Szwajcarji i Monte Carlo. Aby opowiadanie to stało się prawdopodobne, należałoby je przenieść gdzieś na morza południowe. Lecz zbyt dużo byłoby kłopotu z przyrządzeniem go dla czytelników czasopism literackich. Podaję je więc surowe, tak jak je usłyszałem, niestety odarte ze wspaniałego efektu samej postaci opowiadającego, najbardziej imponującego starego łotra z pośród tych, którzy kiedykolwiek wyładowywali statki w porcie londyńskim.

EUSTACHY CZEKALSKI

BIAŁY ŻAGIEL...

Wśród zielonych winnych łóz, na wzgórzu kaprijskiem stoi śliczna ogorzała dziewczyna, zapatrzona w zatokę Neapolu. Serce zamiera w niej z oczekiwania. Żaglu biały, gdzie jesteś? Wodo błękitna, gdzieś ukryła łódź najdroższą? Już powinni przecie być w porcie!

Podeszła do starej oliwki. Chyżo, zręcznie obrzuciła zielonemi oczami horyzont. Stwierdziła, iż wygodniej będzie jej patrzeć w błękitniejącą dal... Oparła się więc o pień drzewka i słuchać poczęła tajemniczej pieśni serca.

*
* *

— Nie ufasz słowom moim, Beppino... niecierpliwił się przystojny Gino... Wiatr lekko zachybotał liśćmi świętojańskiego drzewa. Lazur nieba bezchmurny, głęboki, rozwarł skrzydła szczęścia...

— Daj mi jeszcze popatrzeć w twoje oczy, to ci odpowiem. — Uklękła przy nim... Leżał pod oleandrem. Wzięła jego głowę kochaną w małe drżące dłonie i wpatrzyła się w jego oczy piwne. Czarną, bujna czupryna była rozwiana. Twarz przybladła, skupiona kryła zagadkę....

— Prawda to, że mnie kochasz? zapytała, patrząc mocno w oczy Gina.

— Czy nie czujesz łopotu mojego serca?

— I iak mam ci ufać, gdy tyle dziewcząt płacze, że je oszukano?

— A ja ci mówię, dziewczyno, ufaj słowu mojemu!

Krzak oleandru poruszył gałęźmi i rzucił im do stóp różowy, wonny kwiat....

*
* *

Krótkie są chwile szczęścia! Mijają później lata na udręce, na niepewności, na zwątpieniu. Cóż jej z tego, że Gino przysyła regularnie listy z Chicago? Cóż z tego, że zapewnia o niezmienności uczuć? Rok za rokiem idzie, wszystkie jej rówieśniczki powychodziły za mąż. Już mają różowe, piękne dzieci! Już cieszą się ich zdrowiem, wyglądem, zmysłnością. Czyż biały skrawek papieru może wypełnić życie po brzegi?

*
* *

Nie obyło się bez swatań, bez dogadywań, bez uwag. Odmawiała. I jak tu zwierzyć tajemnicę cudzego serca? Jak powiedzieć skrytą prawdę? Jak ambicji i dumie wyłamać stawy, gdy dusza czuje swoją prawdę!

Nigdy i nikomu nie wyjawi, jak ufne było i jest jej serce. Nie zdradzi rozkoszy rozwartych ramion, szczęśliwych, że przechowują w słodkiem wspomnieniu dreszcz jedyny, niezapomniany, kochany...

*
* *

— Mogła byś pomyśleć o swojej przyszłości... rzekła jej raz staruszka-matka.

— Już pomyślałam... cicho odpowiedziała.

— Jaki jest rezultat tego myślenia?

— Dowiesz się w swoim czasie...

— Nie możesz mi zawierzyć tajemnicy serca?.....

— Lepiej zostawmy na później te słowa. Chcę ci tylko powiedzieć, że ufne jest serce moje i pełne dobrej nadziei...

*
* *

Ciekawość ludzka wszystko wywęszy. Jakby nie odgadła tajemnicy Beppiny? Lata przecież szły, a urodziwa dziewczyna stroniła od męskiego towarzystwa. Znalazły się na wyspie kumoszki, co rozpuściły wieść:

— Beppina czeka na tego inżynierka Gina, który w Ameryce robi dolary.

Wiadomość tę potwierdzała dyskretnie urzędniczka z poczty. Któż mógłby jej zaprzeczyć? Czy nie dlatego pracuje na poczcie, by nie znać tajemnicy cudzych listów?

*
* *

W sezonie zimowym i wiosennym, gdy Capri przepełniona jest cudzoziemcami— mniej zwracano uwagi na Beppinę. Lecz gdy przyszło lato, stała się „jedyną, troską" na wyspie. Nie obyło się bez daleko idących a może i prawdziwych domysłów?

Wtem wieść czarodziejska: po czterech latach pracy z za Oceanu wraca Gino...

— Jakież będzie ich spotkanie?

*
* *

Po zatoce pływają łodzie spacerowe, użaglone: wie serce Beppiny, że to nie są barki, kryjące jej los. Słońce rozedrgało lazur powietrza. Z wody podnoszą się małe mgiełki.

Żaglu biały, gdzie jesteś?! Nie widzisz, jak obumiera serce czekającej dziewczyny.

— Nie ulega wątpliwości, to ich łódź! Jedzie, płynie, sunie po gładkiej tafli wody. Przybywaj! Przybywaj!

Oderwała się od pnia oliwki i chciała biedz... . Zatrzymał ją głos dziwny:

— Jeżeli kocha, jak pisał, sam przyjdzie....

I znów stanęła pod drzewem, wpatrzona w równy bieg łodzi.

Żaglu biały, czeka cię serce spragnione!

*
* *

— Wpadł do ich domostwa, jak szalony. Chwycił za ręce dziewczynę i do serca przycisnął.

— Przyjechałem, by cię porwać... wołał.—Przepraszam, że się spóźniłem. Musiałem z braćmi wypić w Neapolu niepotrzebny litr wina...

Patrzyła uważnie zielonemi, rozkochanemi oczyma i porównywała: To jego czupryna, to dźwięk jego głosu, to jego pochylenie głowy...

A serce czuć zaczynało jakieś nieokreślone niebezpieczeństwo.

— Przepraszam cię, że chcę uciec tak prędko. Nie byłem jeszcze u rodziców...

Zrozumiała go i sama jeszcze przynaglała, by się spieszył.

*
* *

Powrót Gina obudził na Capri liczne komentarze. Wiedziano, że przywiózł dolary. Nie obeszło się bez zakusów ożenienia go: chciał to zrobić przedewszystkiem jego ojciec. Miał dla Gina zamożną pannę. przystojną, ustosunkowaną. Gino słuchał tych propozycji dosyć niedbale. Miał inne plany. Powtórzył przecież po powrocie Beppinie:

— Ufaj słowu mojemu!

Ojciec jednak nalegał. Oświadczył mu wtedy:

— Już mam narzeczoną!

— Kto zacz?

— Beppina...

W rodzinie nie znalazł aprobaty. Nawet bracia nie chwalili jego wyboru. Cóż oni mogą wiedzieć? Czy znają jej oczy ufne, najdroższe?

Minął już miesiąc od powrotu Gina. Szybko biegną dni na wywczasach.

W białej żaglowej łodzi wiezie na spacer urodziwą swoją dziewczynę i paple:

— A wiesz, ojciec zaczyna mnie swatać?

Beppina słucha tych słów niby od niechcenia, ale uważnie. Nie reaguje jakgdyby.

— Uśmiałem się trochę. Wiedzą przecież, że tobą się interesuję...

— Czy wracasz do Chicago? — pyta go ogorzała dziewczyna.

— To od ciebie będzie zależeć — mówi Gino...

— Nie chcę ci przeszkadzać w twojej karjerze! Powiedziała to szybko, a oczy jej zielone, morskie spojrzały mocno i czekają na słowo upragnione.

— Jak mam to rozumieć?!

Biały żagiel załopotał na wietrze. Szary pióropusz na Wezuwjuszu pochylił się i rozwiał po horyzoncie. — Beppina znów spojrzała na sternika łodzi i powiedziała:

— Należy to rozumieć zwykle, po prostu. Będę szczęśliwa z tobą wszędzie...

— Mogę ci zawierzyć, że dostałem propozycję do objęcia korzystnej posady w Medjolanie.

— Rób, jak uważasz...

Gino puścił sznurek żagla i przedostał się do swojej dziewczyny. Otoczył ją ramieniem, a z ust brał pocałunki, nabrzmiałe krwią upalną.

Wiatr chwycił żagiel pozostawiony samopas i o mało nie wywrócił łodzi.

*
* *

Capri ma swoją sensację. U drzwi kościoła parafjalnego na białej karcie odczytały ciekawe kumoszki zapowiedzi Gina z Beppiną. Stało się to tak wbrew przewidywaniu.

Beppina podczas spaceru łodzią żaglową cicho i tajemniczo powiedziała rozkochanemu sternikowi:

— Wiesz Gino, mam wrażenie, że będziemy mieli dziecko...

— Czyżby to była prawda—radośnie zawołał...

Ukląkł u jej nóg i wpatrzył się w oczy ufne, kochane.

— Dajesz mi szczęście najwyższe — powiedział.

Na chwilę zamyślił się i później oświadczył:

— Czy nie uważasz Beppino, że czas już jest najwyższy uregulować nasze życie?

— Trzebaby o tem pomyśleć, — odpowiedziała jak echo.

— No, to musimy dać na zapowiedzi, nie zwlekając — zdecydował po męsku.

*
* *

Na przystani „Marina Granda" „Marina Picola", na rynku Capri, w traktjerniach, zwykłych rybaków i restauracjach hotelarzy mówią dziś tylko o ślubie Beppiny i Gina. Dziwię się.. jemu, jej zazdroszczą karjery.

Kto jednak zna tajemnicę ich serc?

— Kto zrozumie po ludzku powiedziane zobowiązanie:

— Zaufaj słowu mojemu.

U brzegów Capri łopocą na wietrze białe żagle. Słońce świeci równo, wysoko Błękit wody i lazur nieba objęły się miłosnym splotem i w ramionach swoich ukryły niejedną łódź, rozśpiewaną nadmiarem szczęścia i wesela.

Capri.